

Młody król

Był wieczór w przeddzień dnia wyznaczonego na jego koronację i młody król pozostał sam w swoim wspaniałym pokoju. Wszyscy jego dworzanie poprosili o pozwolenie oddalenia się, pokłonili się do ziemi, zgodnie z etykietą, i odeszli do wielkiej sali pałacowej, by otrzymać pewne ostatnie wskazówki od ceremoniarza.

Szesnastoletniego króla wcale nie zasmuciło ich odejście. Z westchnieniem ulgi rzucił się na miękkie poduszki swojego haftowanego łoża i leżał na nim, z nieruchomym wzrokiem i szeroko otwartymi ustami, jak leśne zwierzątko dopiero co schwytane przez myśliwych.

I rzeczywiście, to właśnie myśliwi go znaleźli; natknęli się na niego przypadkiem, gdy on, wpół nagi, z fujarką w ręku, siedł za stadem kóz biednego pasterza, którego synem zawsze się uważał. Był dzieckiem jedynej córki starego króla, owocem jej tajnego małżeństwa z człowiekiem znacznie niższym od niej pochodzeniem – cudzoziemcem, który magiczną siłą swojej lutni zmusił księżniczkę do pokochania siebie; według innych był to artysta z Rimini, którego czciła księżniczka i który nagle zniknął, pozostawiając niedokończone dzieło, nad którym pracował w katedrze. Mającego zaledwie osiem dni dziecko zabrano matce, gdy spała, i powierzono opiece pewnemu chłopu i jego żonie, którzy nie mieli dzieci i mieszkali w odległej części lasu. Smutek, zaraza, jak ogłosił nadworny lekarz, – lub, jak przypuszczali niektórzy, silna włoska trucizna podana w winie, zabiły bladą księżniczkę, która go wydała na świat, szybciej niż godzinę po przebudzeniu; w tej samej chwili, gdy wierny posłaniec, uwiozłszy dziecko na łuku swojego siodła, zeskoczył ze zmęczonego konia i zapukał do surowych drzwi pasterza, ciało księżniczki zostało opuszczone na dno dołu wykopanego na opuszczonym cmentarzu, daleko od bram miejskich, do grobu, gdzie leżał już, jak mówiono, trup młodego cudzoziemca, niewypowiedzianie pięknego, z rękami związanymi sznurem za plecami i z piersią pokrytą mnóstwem ran.

Tak przynajmniej opowiadano sobie na ucho, potajemnie. Niezaprzeczalnym było to, że stary król, na swoim łożu śmierci, zmuszony wyrzutami sumienia do wspomnienia swojej winy, lub też po prostu nie chcąc, by królestwo przeszło w obce ręce, kazał odnaleźć chłopca i w obecności rady uznał go za swojego dziedzica.

I zdawało się, że od samej chwili uznania chłopiec ujawniał oznaki tego dziwnego pociągu do piękna, które miało mieć tak ogromny wpływ na całe jego życie. Ci, którzy towarzyszyli mu po pokojach mu przeznaczonych, często mówili o okrzykach

zrywających się z jego ust, gdy widział piękne szaty i bogate klejnoty przygotowane dla niego, oraz o radości, niemal dzikiej, z jaką zrzucił z siebie swoją grubą skórzaną koszulę i ciężki płaszcz z owczej skóry. Czasem oczywiście brakowało mu pięknego, wolnego życia leśnego i irytował go nudny dworski ceremoniał zajmujący tyle godzin każdego dnia. Lecz cudowny pałac – Radość było jego imieniem, którego panem był teraz – wydawał mu się nowym światem rozkoszy stworzonym dla niego i ledwo tylko mógł wyrwać się z rady czy z sali audiencyjnej, zbiegał po wielkich schodach ze złożonymi brązowymi lwami i lśniącymi porfirowymi stopniami i błdził z sali do sali, z korytarza do korytarza, jakby próbując odnaleźć w kontemplacji pięknych rzeczy lekarstwo na swoje smutki, pocieszenie dla swojego wyzdrowienia.

W tych podróżach, jak nazywał swoje spacerowanie po pałacu, – rzeczywiście, były dla niego prawdziwymi podróżami w krainie cudów – czasami towarzyszyli mu smukli paziowie o jasnych włosach, w falujących płaszczach, z wesoło powiewającymi wstęgami. Lecz częściej chodził sam, czując, tak rzec, instynktownie, jakby przeniknięciem, że tajemnice sztuki lepiej pojmuje się w samotności i że piękno, podobnie jak mądrość, głębiej kontemplanuje się w odosobnieniu.

O chłopcu opowiadano zdumiewające historie. Mówiono, że pewien gruby burmistrz, zamierzający przedłożyć uroczysty adres od swoich współobywateli, zastał go na kolanach, w postawie modlitewnej, przed wielkim obrazem przysłanym z Wenecji. Innym razem zaginął na wiele godzin i po długich poszukiwaniach znaleziono go w małym pokoju północnej wieżyczki pałacowej, kontemplującego, niczym w ekstazie, drogocenny grecki kamień przedstawiający Adonisa. Widziano go obsypującego gorącymi pocałunkami marmurowe czoło starożytnej statuy, odkopanej w korycie rzeki przy budowie mostu i przedstawiającej, jak głosił napis, bityńskiego niewolnika Hadriana. Spędzał całe noce, obserwując grę światła księżycowego na srebrnej statui Endymiona.

Wszystkie rzadkie i cenne rzeczy wprost go oczarowywały i w swoim nieprzezwyciężonym pragnieniu nabycia ich dla siebie wysyłał posłańców do obcych krajów; to – by kupić bursztyny u surowych rybaków Morza Północnego; to do Egiptu – by odnaleźć tę zadziwiającą zieloną turkus, która znajduje się tylko w grobowcach faraonów i której przypisuje się magiczne właściwości; to do Persji po jedwab i gliniane naczynia; to do Indii po gaz, kość słoniową, kamień księżycowy, jadeitowe bransolety, drzewo sandałowe, błękitną emalię i cienkie wełniane szale.

Najbardziej jednak zajmowała go szata, którą miał włożyć w dniu koronacji, purpura tkana złotem, i korona wysadzana rubinami, oraz berło ozdobione rzędami pereł. O nich myślał tego wieczoru, leżąc na swoim wspańiałym łożu i patrząc na grubą sosnową kłodę tłącą się w otwartym kominku. Rysunki stworzone przez

najsłynniejszych artystów ówczesnych zostały mu przedłożone już kilka miesięcy temu i kazał pracować nad nimi dzień i noc, by je wykonać: trzeba było objechać cały świat, by znaleźć klejnoty godne ozdobić szatę. Wyobrażał sobie stojącego przed głównym ołtarzem katedry w luksusowym królewskim ornacie: uśmiech rodził się i zamierał na jego młodzieńczych ustach i rozjaśniał jego oczy, ciemne jak las.

Pomarzywszy kilka minut, podniósł się z łoża i, oparłszy się o rzeźbiony daszek kominka, rozejrzał się wokół siebie. Półmrok już wdarł się do sali. Ściany były pokryte bogatymi dywanami przedstawiającymi triumf piękna. Ogromna szafa z inkrustacjami z agatu i lazurytu zajmowała kąt, a naprzeciw okna stała mała szafka z lakierowanymi drzwiczkami usianymi złotem; na niej stało kilka cienkich kielichów z weneckiego szkła i onyksowy kubek z ciemnymi żyłkami. Błede maki były wyszyte na lekkim jedwabnym nakryciu łoża, jakby rzucone tam ręką osłabioną snem, a wysokie, smukłe kolumny z kości słoniowej podtrzymywały baldachim, nad którego wierzchołkiem wznosiły się gęste pióropusze ze strusich piór, białych jak piana. Starożytna statua Narcyza z zielonego brązu trzymała nad głową lustro. Na stole – niski ametystowy kubek. Przez okno widać było ogromną kopułę katedry, niewyraźnie wyróżniającą się jak olbrzymia kula nad domami ginącymi w cieniu. Daleko-daleko, w sadzie śpiewał słowik. Lekki aromat jaśminu wnikał przez otwarte okno. Młodzieniec odrzucił z czoła swoje czarne loki i, wzięwszy lutnię, przebiegał palcami struny. Jego powieki zamykały się, ciężały i jakaś niezwykła słabość ogarnęła go. Nigdy dotąd nie czuł tak przenikliwie, tak wysublimowanie wszystkich czarów piękna.

Gdy zegar wieżowy wybił północ, zadzwonił i weszli paziowie. Z wielką ceremonią rozebrali go, polali mu na ręce różaną wodą i obsypali kwiatami poduszkę. Prawie natychmiast, gdy tylko wyszli z pokoju, zasnął.

I ujrzał sen.

Śniło mu się, że znajduje się w długim, niskim poddaszu wypełnionym hałasem i stukotem licznych robotników. Słabe poranne światło wnikało przez kratowane okna i przy nim widoczne były wychudłe twarze tkaczy pochylonych nad swoją pracą. Błede, chore dzieci siedziały w kucki.

Gdy czołna przelatywały przez osnowę, dzieci podnosiły ciężkie poprzeczne belki, a gdy czołna zatrzymywały się, opuszczaly belki i zbierały nici. Ich twarze były wycieńczone mękami głodu, a słabe ręce drżały. Kilka kobiet o ponurych oczach siedziało przy stole i szyło. Okropny zapach zatruwał cały pokój. Powietrze było ciężkie i niezdrowe; wilgocią wiało od ścian.

Młody król podszedł do jednego z tkaczy, zatrzymał się

i zaczął się mu przyglądać.

A tkacz podniósł na niego oczy pełne złości.

— Co się tak na mnie gapisz? Jesteś szpiegiem przysłanym przez naszego pana, żeby nas podsłuchiwać?

— Kto jest twoim panem? — zapytał młody król.

— Nasz pan — odrzekł z goryczą tkacz — jest dokładnie takim samym człowiekiem jak ja. Różni nas tylko jedno: on nosi delikatne szaty, a ja chodzę w łachmanach; ponadto ja słabnę z braku jedzenia, podczas gdy on, przeciwnie, choruje od nadmiaru pokarmu.

— Wszyscy są wolni w tym kraju — rzekł młody król — i nikt nie może uczynić cię swoim niewolnikiem.

— Na wojnie — sprzeciwił się tkacz — silny podporządkowuje sobie słabego, a w czasie pokoju bogaty biednego. Jesteśmy zmuszeni pracować, by żyć, a dają nam tak nikczemną zapłatę, że umieramy. Pracujemy dla panów cały dzień, a oni zgarniają złoto do swoich skrzyń. Nasze dzieci marnieją i umierają przedwcześnie, a twarze tych, których kochamy, grubieją i brzydną. My uprawiamy winogrona, a inny pije wino. My siejemy zboże, a nasz stół jest pusty. Nosimy łańcuchy, choć żadne oko ich nie widzi; jesteśmy niewolnikami, choć nazywają nas ludźmi wolnymi.

— I wszyscy tak mają?

— Tak, wszyscy tak! — odpowiedział tkacz — młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, małe dzieci i starcy. Kupcy uciskają nas i jesteśmy zmuszeni im się podporządkowywać. Nikogo nie obchodzi nasz los. Po naszych pozbawionych słońca zaułkach błąka się Nędza z głodnymi oczami, a za nią podąża Grzech z bestialską twarzą. Nieszczęście budzi nas rano, a Wstyd siedzi obok nas wieczorem. Lecz co ciebie obchodzi wszystko to? Nie jesteś jednym z nas, wydajesz się bardzo szczęśliwy.

I ze złością odwrócił się od niego, przerzucając czólenko przez osnowę; młody król zauważył, że tkają złotymi nićmi.

Ogarnął go wielki strach i zapytał tkacza:

— Co wyrabiacie?

— Purpurę na koronację młodego króla! — odpowiedział tkacz. — Ale dlaczego ciebie to interesuje?

Młody król krzyknął i... obudził się w swojej komnacie; przez okno widać było bladą księżycową tarczę płynącą po ciemnym niebie.

Król znów zasnął i ujrzał nowy sen.

Wydawało mu się, że leży na pokładzie ogromnej galery, na której setki niewolników wiosłuje. Na dywanie, obok niego, leżał właściciel statku. Był czarny jak heban, a głowę miał owiniętą jaskrawoczerwonym jedwabnym turbanem. Wielkie srebrne pierścienie były proste w mięsiste uszy, a w dłoniach trzymał wagę.

Niewolnicy nie mieli na sobie żadnej odzieży oprócz łachmanów służących za przepaski biodrowe i każdy z nich był przykuty do swojego sąsiada. Pałace słońce piekło ich; Murzyni chodzili między nimi i smagali rzemiennymi batami. Wyciągali swoje chude ręce i napierali na ciężkie wiosła wrzynające się w fale. Bryzgi wznosiły się nad wiosłami.

W końcu dopłynęli do małej zatoki i zaczęli mierzyć głębokość wody. Lekki wiaterek nadleciał z brzegu i pokrył zarówno pokład, jak i wielki żagiel cienką czerwoną pyłem. Trzej Arabowie podskoczyli ku brzegowi i rzucili włócznie w stronę statku. Właściciel galery wziął malowany łuk i strzałą przebił gardło jednemu z Arabów. Ten ciężko runął w przybrzeżne fale, a jego towarzysze umknęli. Kobieta w żółtym nakryciu powoli podążała za nimi na wielbłądzie, od czasu do czasu oglądając się na trup.

Gdy tylko rzucono kotwicę i zwinięto żagle, Murzyni zeszli do ładowni i wynieśli stamtąd długą sznurową drabinę z przywiązanim ołowianym ciężarem. Właściciel galery przerzucił ją przez burtę, mocując końce do dwóch żelaznych słupków. Wtedy Murzyni wzięli najmłodszego niewolnika i zdjęli z niego łańcuchy: starannie zatknęli mu nozdrza i uszy woskiem oraz przywiązali mu do pasa ciężki kamień. Z trudnością zszedł po sznurowej drabinie i zniknął w morzu. Woda lekko wzburzyła się w miejscu, gdzie nurkował. Niektórzy niewolnicy z ciekawością patrzyli przez burtę. Na dziobie galery Murzyn monotennie bębnił, odpędzając rekiny.

Po pewnym czasie młody niewolnik wynurzył się z wody i, całkowicie zdyszany, wdrapał się po drabinie, trzymając w prawej ręce perłę. Murzyni chwycili perłę i ponownie odesłali niewolnika do wody. Pozostali niewolnicy ciężko drzemali nad wiosłami. Raz za razem nurkujący wynurzał się, przynosząc za każdym razem piękną perłę. Właściciel galery ważył je i wkładał do woreczka z zielonej skóry.

Młody król chciał mówić, lecz język zdawał się przyklejać do podniebienia, a usta odmawiały ruchu. Murzyni gadali i spierali się między sobą o jakieś naszyjnik z błyszczących pereł. Dwa ptaki krążyły nad galera.

Wreszcie nurkujący wynurzył się po raz ostatni i perła, którą przyniósł, była piękniejsza od wszystkich pozostałych pereł, ponieważ była okrągła jak pełnia księżycy i lśniła jaśniej niż gwiazda poranna. Lecz twarz nurkującego była straszliwie blada i gdy upadł na pokład, krew trysnęła z jego nozdrzy i uszu. Zadrzał raz, drugi — i wyzionął ducha. Murzyni podnieśli go za ramiona i wyrzucili ciało za burtę.

Właściciel galery zaśmiał się i podszedł, by wziąć perłę. Obejrzawszy ją, przyłożył do swojego czoła i skłonił się. „Ta pójdzie na berło dla młodego króla!”

Młody król krzyknął i... obudził się. Przez okno widać było, jak szare, drapieżne palce świtu zrywają z nieba zwiędłe gwiazdy.

I znów zasnął i ponownie ujrzał sen.

Ujrzał siebie w półmroku lasu o dziwnych owocach i pięknych trujących kwiatach. Wężę syczały na niego, a papugi, błyszcząc czubami, z krzykiem przelatowały z gałęzi na gałąź. Ogromny żółw spał w rozpalonym piasku. Stada małych i pawii gnieździły się na drzewach.

Szła, wciąż szła i wkrótce dotarł do skraju lasu. I tam ujrzał mnóstwo ludzi pracujących w korycie wyschniętej rzeki. Wspiniali się na skały jak mrówki, drążyli w ziemi głębokie studnie i schodzili w dół. Jedni kruszyli skały ciężkimi młotami, inni rozrywali piasek. Wyrwali korzenie kaktusów i deptali krwistoczerwone kwiaty. Była to nieprzerwana praca i nikt ani minuty nie pozostawał bezczynny.

Śmierć i Chciwość z mrocznej jaskini patrzyły na nich i Śmierć powiedziała:

— Jestem zmęczona. Daj mi trzecią część tych ludzi, abym mogła stąd odejść.

Lecz Chciwość potrząsnęła głową.

— Oni są moimi sługami! — odpowiedziała.

I Śmierć rzekła do niej:

— Co masz w ręku?

— Trzy ziarna zboża. Dlaczego cię to interesuje?

— Daj mi jedno — poprosiła Śmierć — abym mogła je posiać w swoim ogrodzie, tylko jedno! A potem odejdę stąd.

— Niczego ci nie dam! — odpowiedziała Chciwość i schowała rękę w fałdach sukni.

I Śmierć zachichotała, wzięła kubek i zanurzyła go w wodach bagien, i z kubka wyszła Gorączka. Przeszła przez tłum i trzecia część ludzi padła. Zimna mgła podążała za nią, a wodne węże pełzały po jej śladach.

A gdy Chciwość ujrzała, że umarła trzecia część ludzi, zaczęła bić się w piersi i płakać; biła się po niepłodnej piersi i krzyczała:

— Zgubiłaś trzecią część moich sług. Idź tam! Wojna toczy się w górach Tatarstanu i władcy dwóch wojsk wzywają cię. Afgańczycy zabili czarnego byka i szykują się do bitwy. Brzęczą włóczniami o swoje tarcze i założyli żelazne hełmy. Co każe ci pozostawać w moich posiadłościach? Idź tam, mówię ci, i więcej tu nie wracaj.

— Nie — sprzeciwiała się Śmierć — dopóki nie dasz mi jednego ziarna żyta, nie odejdę!

Lecz Chciwość mocno zacisnęła dłoń i odpowiedziała, zaciśnięte zęby:

— Niczego nie otrzymasz!

I Śmierć zachichotała i wzięła czarny kamień, i rzuciła go w las. Z zarośli trujących roślin wyszła Zaraza w płomiennych szatach. Poszła wśród ludzi i wszyscy, których dotknęła, umarli. Trawa, w miarę jak postępowała, więdnęła pod jej stopami.

I Chciwość zadrżała i posypała głowę popiołem.

— Jesteś okrutna, jesteś okrutna! Głód panuje w wioskach Indii, a zbiorniki wodne Samarkandy wyschły. Głód panuje w wioskach Egiptu, a szarańcza nadleciała z pustyni. Nil nie wylał, a kapłani przeklinają Izydę i Ozyrysa. Idź do tych, którzy cię potrzebują, i zostaw mi moich sług!

— Nie — odpowiedziała Śmierć — dopóki nie dasz mi jednego ziarna żyta, nie odejdę stąd.

— Nie dam ci niczego! — powiedziała Chciwość.

I znów Śmierć zachichotała. Gwizdnęła w palce i spadła lecąca w powietrzu kobieta. Na jej czole wypisane było: „Jestem Dżuma”. Stada chudych jastrzębi miały się wokół niej. Osłoniła dolinę swoimi skrzydłami i nie pozostał już ani jeden żywy człowiek.

I Chciwość z przenikliwymi krzykami uciekła w las, a Śmierć wskoczyła na swego czerwonego konia i pogalopowała

Szybciej niż wiatr.

I z mułu, na końcu doliny, wypełzły smoki i straszne łuskowate stwory; szakale krążyły po piasku, podnosząc pyski, węsząc w wietrze.

I młody król zapłakał i rzekł:

— Kim byli ci ludzie i czego szukali?

— Szukali rubinów do korony króla! — odpowiedział ktoś za jego plecami.

I młody król zadrżał, odwrócił się i ujrzał człowieka w stroju wędrowca, z lustrem w ręku.

I zbladł i zapytał:

— Jakiego króla?

A wędrowiec odrzekł:

— Spójrz w to lustro, a ujrzysz go.

Spojrzał w lustro i, zobaczywszy własną twarz, głośno krzyknął. Gdy się obudził, oślepiające światło słońca zalało pokój, a w ogrodzie śpiewały ptaki.

W tym czasie do króla weszli kasztelan i starsi dostojnicy dworu, a pażowie nieśli mu złototkaną purpurę. I rzekł do możnych:

— Zabierzcie wszystkie te rzeczy, albowiem ich nie przywdzieję.

Dworzanie byli oszołomieni; niektórzy zaczęli się śmiać, myśląc, że to żart.

Lecz on ponownie zwrócił się do nich surowo i powiedział:

— Zabierzcie to wszystko, usuńcie sprzed moich oczu! Choć jest to dzień mej koronacji, nie przywdzieję ich. Albowiem na krosnach Żalu i bladymi rękami Cierpienia utkana została ta purpura. Krew w sercu rubinów i śmierć w sercu perły.

I opowiedział im swoje trzy sny.

A wysłuchawszy tego, dworzanie zaczęli spoglądać na siebie nawzajem i cicho mówić między sobą: «On musi być szalony, gdyż sen jest tylko snem, widzenie – niczym innym jak widzeniem. To nie rzeczywistość, warta uwagi. Co nas obchodzi życie tych, którzy dla nas pracują? Czyż nie pijemy wina, nie rozmawiając z winogrodnikiem, czyż nie jemy chleba, nie widząc siewcy?»

I kasztelan, zwracając się do króla, rzekł mu:

— Błagam Waszą Królewską Mość, byś odpędził mroczne myśli, przywdział tę piękną purpurę i włożył na głowę tę koronę. Jak lud pozna, że jesteś królem, jeśli nie będzie na tobie znaków twego urzędu?

Młody król spojrzał na niego.

— Czyż – zapytał – nie uznają we mnie króla, jeśli nie będzie na mnie tych znaków?

— Lud nie uzna, Wasza Królewska Mość! – odpowiedział kasztelan.

— Myślałem, że godność królewska wyraża się w samym człowieku – odrzekł król – lecz bardzo może być, że macie rację, a jednak nie chcę nosić tej szaty, nie włożę na głowę tej korony. Chcę wyjść z pałacu tak samo, jak do niego wszedłem.

I oddalił od siebie dworzan, zatrzymując dla posługi tylko jednego młodego paza, rok młodszego od siebie i będącego mu towarzyszem. Obmywszy się świeżą wodą, otworzył wielką malowaną skrzynię i wyjął z niej skórzaną koszulę oraz gruby płaszcz z owczej skóry, które nosił, gdy pasł na wzgórzu stado kóz. Wdział je na siebie i wziął do ręki grubą pasterską laskę.

A mały paż ze zdumieniem otworzył swoje wielkie błękitne oczy i rzekł mu z uśmiechem:

— Wasza Królewska Mość, masz teraz purpurę i berło. Gdzież więc korona?

I młody król oderwał gałązkę dzikiej róży, pnącej się po balkonie, zgiął ją i uczynił mały wieniec, który położył sobie na głowie.

— To będzie moją koroną! – rzekł.

W takim stroju przeszedł z komnaty do wielkiej sali, gdzie dworzanie oczekiwali go.

I dworzanie podeszli do niego, a niektórzy z nich rzekli:

— Wasza Królewska Mość, lud oczekuje ujrzeć króla, a ujrzy – żebraka.

Inni oburzali się i mówili:

— On hańbi dwór! Nie jest godzien być naszym władcą!

Lecz on, nie odpowiadając im ani słowa, kontynuował swoją drogę, zszedł po lśniącej porfirowej klatce schodowej, przeszedł przez brązowe drzwi i, dosiadłszy swego konia, udał się do katedry; mały paż biegł obok niego.

A lud śmiał się, wołając:

— To królewski błazen, oto na koniu! – i obsypywał go szyderstwami.

I zatrzymał swojego konia i rzekł:

— Nie! Ja sam jestem królem!

I opowiedział swoje trzy sny.

Jeden człowiek wyszedł z tłumu i, zwracając się do niego z goryczą, rzekł:

— Czyż Wasza Królewska Mość nie wie, że luksus bogatych jest życiem dla biednych? Królewski blask przeszkadza nam umrzeć. – wasze występki dają nam chleb. Ciężko pracować dla surowego pana, lecz jeszcze ciężiej – nie mieć żadnego pana, dla którego trzeba by pracować. Czyż Wasza Królewska Mość sądzi, że korony przyniosą nam pożywienie? Zresztą, czy warto w ogóle się tym martwić? Powiecie ли kupcowi: «Kupuj po takiej-a-takiej cenie»? i sprzedawcy: «Sprzedawaj po takiej-a-takiej cenie»? Sądzę, że nie powiecie! Wróćcie-no do pałacu, przywdziejcie swoją purpurę i поцкошne szaty! Cóż począć z nami i z naszymi cierpieniami?

— Czyż bogaci i biedni nie są braćmi? – zapytał młody król.

— O, tak, braćmi – odpowiedział człowiek – a imię bogatego – Kain.

Oczy młodego króla napełniły się łzami i kontynuował swoją drogę wśród szemrania tłumu; młody paż, uległszy strachowi, opuścił go.

I gdy podjechał do głównych drzwi katedry, żołnierze skrzyżowali swoje halabardy i rzekli:

— Czego tu potrzebujesz? Nikt oprócz króla nie wejdzie przez te drzwi!

I twarz jego zapłonęła gniewem i rzekł im:

— Ja jestem królem! – odrzucił halabardy i przeszedł.

I gdy stary biskup ujrzał go w pasterskim odzieniu, powstał, zdumiony, ze swojego miejsca i, učinwszy kilka kroków naprzeciw niemu, rzekł:

— Synu mój, czyż to jest widok królewski? Jakąż koroną uwieńczy cię? Jakie berło włożę w rękę twoją? Dziś jest dzień twej radości, a nie dzień унижения!

— Czyż Radość przyniesie to, co objawi Żal? – rzekł młody król.

I opowiedział biskupowi swoje trzy sny.

A gdy biskup wysłuchał go do końca, zmarszczył brwi i rzekł:

— Synu mój, jestem starcem, już na schyłku lat swoich, i wiem, że wiele złego dzieje się na białym świecie. Dzicy rozbójnicy schodzą z gór i porywają małe dzieci,

by sprzedać je Maurom. Lwy zalegają w piaskach pustyni, by zasadzić się na karawanę i jednym skokiem rzucić się na wielbłąda. Dzikie pustoszą pola w dolinach, a lisy pożerają winogrona na wzgórzach. Morscy rozbójnicy sieją postrach wzdłuż całego wybrzeża, palą statki rybaków i zagarniają ich sieci. Na słonych bagnach mieszkają trędowaci. Ich siedziby splecione są z trzciny i nikt nie może się do nich zbliżyć. Żebracy włóczą się po miastach i żywią się razem z psami. Czyż możesz sprawić, by niczego z tego nie było? Położysz ли trędowatego obok siebie, na swoim łożu? Posadzisz ли żebraka za swoim stołem? Czyż lew się przed tobą смири, a dzik będzie posłuszny twemu rozkazowi? Всевышний, który stworzył nieszczęście, czyż nie jest mądrzejszy od ciebie? Oto dlaczego proszę cię, byś wrócił do swego pałacu, przybrał radosny wygląd i oblekł się w strój przystojny królowi. Wtedy złotą koroną cię uwieńczy i berło, ozdobione perłami, włożę w rękę twoją. A co do snów twoich, zapomnij o nich! Brzemie świata tego jest zbyt wielkie dla jednego człowieka; cierpienia ludzkości zbyt ciężkie dla jednego serca!

— I ty mówisz to w świątyni! – zawołał młody król i poszedł naprzód, мимо biskupa, wstąpił po stopniach ołtarza i zatrzymał się przed wizerunkiem Chrystusa, trzymając w rękach naczynia z winem i mirrą. Upadł na kolana przed wizerunkiem Chrystusa. Płomień wysokich świeczników błyszczał na oprawach relikwii, ozdobionych klejnotami, a дым kadzideł unosił się cienkimi błękitnymi zawijaszami ku sklepieniom. Skłonił głowę, jakby do modlitwy, a kapłani w swoich ciężkich szatach jeden za drugim opuścili ołtarz.

I nagle wielkie zamieszanie dało się słyszeć za murami świątyni, na ulicy, i weszli moiżni, z обнажonymi szpadami, z powiewającymi султанам, z tarczami z polerowanej stali.

— Gdzie ten толкователь snów? – krzyknęli, – Gdzie ten król, przebrany za żebraka? Gdzie ten młody błazen, hańbiący dwór? Chcemy się z nim rozprawić, bo nie jest godzien panować nad nami!

I młody król ponownie skłonił głowę i kontynuował modlitwę, a gdy skończył modlić się, podniósł się, odwrócił i smutnym wzrokiem spojrzał na nich.

I oto poprzez wielobarwne szyby okien promienie słońca oświeciły go i utkały mu purpurę piękniejszą niż ta, jaką przygotowano do koronacji. I na jego łasce zakwitły lilie, bielsze niż perły: na głowie zaschła gałąź ożyła różami czerwonymi niż rubiny! Bielsze niż najcenniejsze perły były lilie, а их łodygi były z błyszczącego srebra. Czerwniejsze niż najpiękniejsze rubiny były róże, а их liście – z kutego złota.

Stał tam w szacie królewskiej, i drzwiczki ковчегów z relikwiami otwarły się, i kryształ

czary ze Świętymi Darami zajaśniały cudownym, tajemniczym światłem. On stał tam w królewskich szatach, a chwała Pańska napełniła świątynię, i święci w swoich niszach zdawali się ożywać. W pysznych królewskich szatach stał on, rozbrzmiewały donośne dźwięki organów, trąbiły trąby, a dzieci z chóru śpiewały.

I lud padł na kolana, ogarnięty strachem: dostojnicy wsunęli szpady do pochew i oddali cześć królowi; biskup zbladł, a ręce jego drżały.

— Potężniejszy ode mnie dał ci koronę! — zawołał i padł na kolana przed nim.

I młody król zstąpił po stopniach ołtarza i wśród ludu przeszedł do pałacu. Lecz nikt z tego tłumu nie odważył się spojrzeć na jego twarz, gdyż była ona obliczem anioła.